

Szwecja na rowerach cz.2

Data publikacji: 22.09.2013 16:10

Sześciu młodych ludzi, pięciu ze Skoczowa a jeden z Ciszyna postanowiło pod koniec sierpnia tego roku wybrać się na wyprawę do Szwecji na rowerach. Wśród uczestników znaleźli się: Mariusz Machej (Skoczów) , Arben Agusi (Skoczów), Roman Gorgosz (Skoczów), Tomasz Tomica (Cieszyn), Darek Szindler, (Skoczów) , Krzysztof Machej (Skoczów). W trakcie siedmiodniowej wyprawy pokonali łącznie 640 km na rowerach. Portal OX.PL zaprasza do drugiej (ostatniej) części relacji

5. dzień

Środa, 22 sierpień 2013, Langebro k/Horn - Söderköping, rowerem przejechano 110 km

7:15 pobudka. Śniadanko, pakowanko i odjazd. Jest 8:30. Krajobraz w sumie robi się monotony: lasy, jeziora, skały, pagórki i większe góry, ale nic, co by różniło krajobraz z poprzednich dni. Znowu jest dużo grzybów przy drodze. Zajeżdżamy po ok. 40km do miasteczka Åtvidaberg. Na mapie oznaczone jest jako większe (7 tys. mieszkańców to większe miasto na tamte standardy), więc jest duża szansa, że będzie tam sklep (supermarket) i jakaś restauracja. Są nawet dwie. Zatrzymujemy się w restauracji prowadzonej przez Murzyna ze Sri Lanki. Jemy obiad podobny do tego z pierwszego dnia, z tym, że do dań doszły żeberka i kluski z kurczaka w cieście. Obiad kosztuje 79 koron z kawą i piwkiem 2,1%. Darek zamawia pizzę w knajpie obok u Turka za 70koron, a Roman gyrosa za 65koron. U Murzyna są ludzie, u Turka - nie, chociaż Turek przynosi jedzenie chłopakom do knajpy Murzyna. Murzyn okazał się bardzo miłym i rozgadany człowiekiem, mówi, żebyśmy najpierw zjedli, a potem zapłacimy. Po polsku mówi „dzień dobry”, opowiada, że w miasteczku są dwie polskie rodziny. Rozmawiamy po angielsku na różne tematy, na koniec robimy sobie z nim zdjęcie. Na początku myślał, że chcemy, żeby on nam zrobił zdjęcie. Jak zrozumiał, że to my chcemy mieć z nim zdjęcie, tak się ucieszył, że przyniósł whisky (jak powiedział: on jest „black men” i ma whisky z „black market’u”) i połał po „maluchu” przed knajpą. Rozmawiamy jeszcze chwilę, żegnamy się, jedziemy do sklepu, a potem w dalszą drogę na Berg. Na kolejnym rozwidleniu robimy głosowanie w marynarza, czy jechać 10km po szutrze, czy 20km asfaltem. Tylko Krzysztof chce asfaltem, reszta wybiera szuter. Na pewno szutrem nie będzie szybciej, ale za to coś innego. Nie dość, że szuter, to jeszcze zaczęły się góry. Gdzieś źle skręcamy i wylatujemy w zupełnie innym miejscu niż planowaliśmy. Zamiast 10 km skrótu, zrobiło się dodatkowe 20 km , bo trzeba było jechać naokoło. Krzyś odniósł moralne zwycięstwo, jak się okazało, nie ostatnie tego dnia. Wreszcie wracamy na asfalt i przez Husby jedziemy do Söderköping. Ostatnich kilkanaście kilometrów Tomasz prowadzi peleton. Prędkość 22-28km/h. Jesteśmy w Söderköping, gdzie wg mapy miały być trzy (!) kampingi. W informacji turystycznej, na mapie nie ma ani jednego kampingu, tylko parking dla camperów. Krzyś upiera się, żeby jeszcze kogoś zapytać, ale Mariusz stwierdza, że skoro na mapie nie ma kampingu, to go nie ma. Spróbujemy pojechać na parking dla camperów i zobaczyć, czy tam się można rozbić. Napełniamy butelki wodą z kranu, kupujemy w sklepie jeszcze jeden chleb. Krzyś w końcu zapytał, i jakaś kobieta powiedziała, że jest kamping 500m koło stacji Shella. Eee tam, my jednak jedziemy wg mapy! Szukamy, szukamy i nic nie znajdujemy, w końcu pytamy przypadkowo spotykanego faceta, a ten mówi, że faktycznie kamping koło stacji Shella. Jak się później okazało, że na mapie jest zaznaczony kamping, ale nie piktogramem, jak pozostałe rzeczy, tylko napisem ‘Camping’. Krzysztof odnosi drugie moralne zwycięstwo . Rozbijamy się na kamping (koszt 180 koron za namiot i do tego jeszcze karta kampingowa 150koron, w sumie 690 koron na całą ekipę). W Szwecji kampingi są bardzo dobrze wyposażone – prysznic, ubikacje, kuchnia etc , wszystko na wysokim poziomie. Kąpiel, kolacja i wszyscy idą grzecznie spać, choć koło północy jacyś Szwedzi głośno hałasowali – a zdawałoby się, taki kulturowy naród. Jest ciepło, ale nad ranem jak zwykle, zimno.

6. dzień

Czwartek, 23 sierpień 2013, Söderköping -Vagnharad, rowerem przejechano 104 km

7:07 pobudka. Wyjazd znowu ok. 9-tej. Musimy wrócić ok. 2km i skręcić w prawo. Chcemy się dostać na prom

Skenäsleden z Skenäs do Säter. Jeszcze jak zwykle zakupy, w tym samym sklepie koło rynku. Mimo, że ceny podają po przecinku, to nie ma tu groszy, centów, czy czegoś takiego. Na koniec w kasie na rachunku jest zaokrąglone do pełnych koron i albo trzeba dopłacić, albo się jest parę drobnych do przodu. O mały włos, a pojechalibyśmy na inny prom – na południe, zamiast na północ. Mariusz jednak czuwa. Po ok.25km w O Husby jest znak na prom, lecz zamiast 7 km widnieje inna miejscowość i 26km. O co chodzi? Zaczepione 3 kobiety potwierdzają, że to dobry kierunek, a miejscowość na drogowskazie znajduje się na drugim brzegu (Jönåker). Dojeżdżamy do promu, który płynie już w naszą stronę. Mamy do pokonania odległość 1020 metrów między brzegami, w które wciska się morze Bałtyckie. Wyplyniecie 11:30, mamy jeszcze 20min, robimy pamiątkowe zdjęcia. Zastanawiamy, ile będziemy płacić za tą przyjemność. Okazało się że płynie się za darmo, czas płynięcia promu to 6 minut. Po drugiej stronie trasa zaczyna się długim podjazdem. Teren pagórkowaty i górki jest sporo. Przy drodze pasą się byki i krowy. Tu już nie widzimy baranów, jak kilka dni wcześniej. O dziwo, przeważnie były to czarne barany, czy owce. W Jönåker zatrzymujemy się w przydrożnej restauracji, znowu u Turka. Wygląda no to, że restauracje prowadzą tylko obcokrajowcy. Tym razem jest pizza i kebab. Wybieramy kebab na talerzu, a Darek w cieście. Dostaje ogromny, ze 30cm. Płacimy po 75koron, kebaby są po 70 koron, lecz obsługa kosztuje dodatkowo 5 koron. Gdy z kebabem przynosi dwa sosy - czerwony ostry i biały łagodny, odzywa się pech Krzysia. Nie trzyma wieczka w jednolitrowym dzbanku z sosem i chyba z pół litra wylewa mu się na talerz i spodenki. Dobrze, że ma podwójne i dobrze że sos był łagodny. Ściąga w WC wierzchnie i zostaje w „pampersach”. Kończymy posiłek, wsiadamy na rowery i za godzinę docieramy do Nyköping. Stąd mamy samolot Wizzair (480zł) do Polski – odlot w niedzielę o 13:15, więc mamy jeszcze dużo czasu, kierujemy się na Sztokholm. W informacji dowiadujemy się, że pole namiotowe jest 8 km w przeciwną stronę niż lotnisko, w sumie będzie 15km, pociągi z Nyköping nie biorą rowerów i trzeba podjechać do Vagnhärad, tam są lokalne i się da. Jeszcze jedziemy na dworzec autobusowy. Jedzie autobus do Vagnharad (85koron) 15:30, a jest 15:25. Mariusz, jak na szefa przystało, zasięga informacji - na upartego kierowca wzięłyby 6 rowerów, dwa do środka, a 4-ry do luków bagażowych, ale czasu jest mało, on już musi odjeżdżać, więc „dajemy z buta” – ok. 40km. Tomasz chce jechać, ale reszta ekipy nie ma weny, Roman wyraźnie chce już kończyć. Przez Svärta, Näsby, Hagby dojeżdżamy do jeziora 4 km przed Vagnhärad. Mimo, że Mariusz pierwotnie chciał stanąć przy jeziorze jakieś 14 km wcześniej. Przed jeziorkiem, lokalna droga, którą jedziemy, ma połączenie z MOP'em na autostradzie, Arben z Krzysiem posilają się restauracji BurgerMen'em za 49koron (Burger, frytki, Cola). No i jest plaża nad jeziorem, super, fajnie wygląda. Ale zaraz się okazuje, że nic z tego, plaża jest prywatna i widać znak "zakaz rozbijania namiotów". Krążymy po okolicy, szukając dogodnego miejsca. Mariusz z Darkiem chodzą po domkach, żeby zapytać gospodarza o zgodę na rozbicie namiotów. Przeszli chyba z 10 posesji, a tam żywego ducha, a na zewnątrz zostawione rowery, kosiarki, krzesła, narzędzia, nawet pranie na sznurach. Atmosfera robi się dość gęsta. Już 19:30. Słońce za pół godziny zajdzie, a my nie możemy się zdecydować. Tomasz z Romanem szukają jeszcze miejsca, ale Mariusz przekonał innych do rozbicia na łące przy domkach, odgródzonej drzewami od drogi – może być prywatna, ale trudno, rozbijamy namioty. Łąka jest zaorana, lecz jest trawa, trochę wysoka, są wyboje, więc spać się specjalnie komfortowo nie da. Mariusz znalazł 3 kleszcze. Krzyś zapina się z namiocie i idzie od razu spać, kleszcze to jego fobia. Tomasz idzie jeszcze na plażę, nikt nie chce iść, wszyscy są zmęczeni, a robi się cholernie zimno. To była znowu kolejna zimna noc.

7. dzień

Piątek, 24 sierpień 2013, Vagnharad – Stochlom - Marietorp, rowerem przejechano 16 km

To już piątek. O 7:00 ranna pobudka. Nie mamy chleba, więc będzie bez śniadania. Dojeżdżamy 6 kilometrów do Vagnhärad, plan jest taki, aby złapać pociąg do Sztokholmu. Na dworcu kolejowym nikogo nie ma, tak jak u nas, tylko automat do kupna biletów na kartę. Przed dworcem stoi pełno rowerów. Nie kupujemy biletów na pociąg, bo nie ma pewności, że weźmie rowery. Para Francuzów na dworcu też nie ma pojęcia, a o 09:33 jest pociąg do Sztokholmu. Postanawiamy zapytać konduktora. Jest i pociąg, ale "no bikes in train" słyszymy. No, to dupa. Jednak się potwierdza, że nie biorą rowerów. Mariusz początkowo chce wracać do Nyköping na kamping, tam zostawić rzeczy, a potem jechać pociągiem do Sztokholmu. Darek rzuca hasło, żeby zapytać kogoś w domu, czy nie możemy zostawić rowerów i pojechać sami lub po prostu rowery z betami zostawić przed dworcem i jechać pociągiem. Ponieważ w domach nie widać żadnego żywego Szweda, koniec końców idziemy do pizzerii i Tomasz pyta Turka o przechowanie rowerów. Turek mówi po niemiecku, więc z pomocą przychodzi Krzyś, bo on coś jarzy w tym języku. Jakoś się dogadujemy i zostawiamy rowery za ogrodzonym podwórkiem obok pizzerii. Przebieramy się i jemy pizzę na śniadanie - cena około 70 koron. Próba kupna biletów na pociąg kończy się zablokowaniem automatu. Po chwili jednak udaje się kupić bilety na kartę kredytową. 120 koron za jeden. Żadnej zniżki za bilet powrotny. Więc na razie nie kupujemy. 10:39 odjazd i po około 40 minutach jesteśmy w Sztokholmie. Konduktorka tylko z daleka spojrzała na bilet. Jeden gość pokazał iPhone'a zamiast biletu. No i po półgodzinnej jeździe, jesteśmy na dworcu kolejowym w

Sztokholmie Rzut oka na powrotne pociągi i idziemy w kierunku Royal Palace, gdzie o 12:15 jest uroczysta zmiana warty. Chwilę patrzymy, idziemy na nabrzeże, a potem kierujemy się na stare miasto. Przechodzimy wąskimi uliczkami, gdzie pełno rosyjskich wycieczek z przewodnikiem. Są też angielsko i hiszpańskojęzyczne wycieczki, polskich nie ma. Pijemy Cane - piwo po pięćdziesiąt dziewięć koron za 0,4 litra, no cóż, stolica, takie ceny. Po zwiedzaniu starego miasta idziemy do bardziej nowoczesnej części miasta. O, jest sklep z alkoholem. W całej Szwecji trudno było zobaczyć policjanta, czy kogoś w tym stylu, a tutaj stoi dwóch rosyjskich, uzbrojonych po zęby ochroniarzy. Alkohol to widać tutaj towar strategiczny: 0,7 litra wódki jest po średnio 250 koron, Bols 0,7 litra to 199 koron, no i jest "the famous polish wodka" „Dworek” za 188 koron (pierwszy raz słyszymy o takiej "faamous" wódce). Przechodzimy przez ulicę pełną sklepów, no i ludzi. Wszędzie tłumy. Męczą się nogi i plecy bołą bardziej niż na rowerach. Wracamy na dworzec kolejowy, gdzie w automacie biletowym trzeba było wpisać nazwiska i imiona. Dziwne, bo w tamtą stronę tego nie robiliśmy, a pociąg ten sam. 17:44 odjazd. Tłumy na peronie, ale w pociągu luz. Jakiś Szwed siedzi naprzeciwko nas. Zaczyna konwersację po angielsku. Na koszulce ma swoje zdjęcie w odblaskowym kubraczku i na rolkach. Mówi, że żyje z renty, bo ma szumy w uszach i jest sławny ze zbierania puszek i butelek. Hm, to jedyny Szwed, który sam od siebie zaczął konwersację, ale chyba nie ma całkiem po kolei w głowie. Wsiadamy z pociągu w Vagnhärad. Jeszcze pizza u Turka, dziękujemy mu za przechowanie rowerów i w drogę. Kolejne zakupy w sklepie: chleb i woda, no i odjazd. Po 7 km okazuje się, że mapa kłamie i zostajemy w krzakach, a miał być kamping, przysznice i Bóg wie, co jeszcze. Znowu śpimy na łące, Krzys znowu zamyka się w namiocie – wiadomo, też mogą być tu kleszcze. Słońce zachodzi i robi się okrutnie zimno, a w nocy jeszcze bardziej. To była najzimniejsza noc. Śpimy, trzęsąc się z zimna.

8. dzień

Sobota 25 sierpień 2013, Vagnharad – Nyköping - Strandstuviken, rowerem przejechano 66 km

Rosa na trawie. Wstajemy wszyscy zmarznięci po 7-ej. Namiot Mariusza jak zwykle pierwszy. Ranne potrzeby fizjologiczne pod drzewkiem, gotowana na kuchenkach gazowych herbata, jakaś kromka z konserwą lub pasztetem. Tomasz, który został wyprawowym kronikarzem, sporządza notatkę z wydarzeń poprzedniego dnia i po spakowaniu mokrych namiotów wyjeżdżamy ok. 8:30. Wolne, relaksowe tempo drogą nr 219, bo mamy dziś przed sobą mamy ok. 50 km do kempingu pod Nyköping. W Strömstugan (Hälgö) zatrzymujemy się na plaży nad morzem w sosnowym lesie. Jest pięknie. Krajobraz jak nad jeziorem. W słońcu gorąco, lecz ledwo człowiek wejdzie do cienia, od razu przenika go zimno. Zastanawia nas tu brak komarów, o ile na pierwszym kempingu jeszcze jakieś gryzły, to teraz nie ma ich w ogóle. Mamy mnóstwo czasu, więc Tomasz próbuje łowić ryby, ale w morskiej wodzie spinning to chyba nie najlepszy pomysł. Gotujemy zupki i herbatę i zostajemy tam ponad 2 godziny. Jest bardzo przyjemnie. Mariusz zarzuca wędkę dwa razy i odjazd. Jest 12:06. Za dwie godziny drogą bez samochodów (no prawie) dojeżdżamy do Sjösa. Na światłach zwężenie na jeden pas-roboty drogowe. Jakaś baba z przeciwka by nas przejechała, gdy puściliśmy auto, aby nas wyprzedziło. Z przeciwka mieli czerwone światło. Mimo, że to Szwecja, kraj przyjazny rowerzystom, trzeba uważać. Dojechaliśmy do Nyköping. Na rynku jakieś imprezy, biegi uliczne, stragany. Dwa dni wcześniej było tu pusto, ale teraz jest sobota. Kobieta w dawnym stroju zaprasza nas na turniej rycerski przy "Białej wieży". Ale to dopiero za dwie godziny. Pamiątkowe zdjęcie pod zamkiem z białą wieżą - King's tower (musowo z flagą Skoczowa). Jedziemy na kamping, po drodze w supermarkecie robimy podstawowe zakupy i po 40 minutach jesteśmy na „kampie”. Wieje okrutnie od morza. Za namiot chcą 230 koron. ale nie mamy specjalnie innego wyjścia. Rozbijamy namioty, dojadamy konserwy turystyczne (na mielonki turystyczne nie możemy już patrzeć) i w końcu upragniona kąpiel. Chłopaki kupują w kempingowym barze hamburgery. Ten mini sklep kończy sezon właśnie dzisiaj i gość wynosił większość towaru do auta. Robi im hamburgery bez żadnych dodatków. Opuszcza cenę z 35 na 25 koron. Wypijamy dwa sześciopaki piwa. 45 koron za jeden. Taniej niż w markecie. Chyba chce się pozbyć już towaru. Arben naciskał na przejazd próbny rowerami do lotniska, ale kończy się tym, że jedziemy do pizzerii jakieś 5 kilometrów. Mariusz i Roman zostają. Wracamy już po zachodzie słońca. Darek i Tomek nie wzięli przednich latarek, więc trzymają się blisko Arbena i Krzyśka. Zimno, zimno, zimno. Czas spać. Jutro pobudka o 6:00.

9. dzień

Niedziela 26 sierpień 2013, Strandstuviken – Skavska Nyköping, rowerem przejechano 16 km

Budzi nas Mariusz. Mgła nad morzem sprawia, że widok jest niesamowity. Jemy śniadanie w kuchni -tradycyjnie konserwy turystyczne i gorące kubki. Tomasz włącza telefon do podładowania. Pakujemy się i wyjeżdżamy. Świeci słońce. Trzeba przyznać, że pogoda nam dopisała przez cały pobyt. Pierwszego dnia troszkę pokropiło wieczorem i tyle. W cieniu i nocami było zimno, lecz ogólnie słonecznie. Lepiej sobie nie wyobrażać, jakby padało przy takiej

temperaturze... , brrr. Zatrzymujemy się jeszcze przy sklepie, by kupić "Surströmming" - puszkę ze sfermentowanymi śledziami bałtyckimi – szwedzki przysmak. Po 15 kilometrach jesteśmy na lotnisku Skavska. Przed lotniskiem Tomasz orientuje się, że zapomniał telefonu na kempingu, zrzuca sakwy i worek i jedzie z powrotem. Reszta ekipy pakuje już rowery, a Tomasz wraca po półtorej godziny. Pakuje rower i idziemy oddać bagaże. Trzeba podejść również z rowerami, aby je zważyć i okleić. Arbena waży ponad 31 kilogramów - rekord. Jeszcze tylko dojadamy ostatnią mielonkę przed budynkiem lotniska i idziemy na samolot. Wszystko fajnie, tylko zamiast o 13:15 wylot ma być o 15:20. W końcu po 1,5-godzinie lotu jesteśmy w Pyrzowicach. Teraz tylko przejazd autami do Cieszyna i Skoczowa, i to już koniec wyprawy.

KONIEC

[ZOBACZ FOTOREPORTAŻ>>>](#)